

Dr. T. Gluziński

Pędziszem na południe

XIV

Garda — to najpiękniejsze z włoskich jezior. Obramione wokół górami, a jednak brzegi ma ustrojone roślinnością. Cyprysy, tuje, nawet palmy ozdabiają ogrody. Komfortowe wille, łownie rezydencje bogatych Włochów, przegładają się w szafirowej wodzie.

Słońce rozpalilo fale złotem, a dalej ku drugiemu brzegowi toni przechodzi w kolor niebieski, z początku jasny, a pod skałami aż granatowy. Ku północy wyniosłe szczyty Alp oblokły się w welony mgieł.

Zatrzymujemy się na chwilę,



Przed tunelem nad J. Gardą.

Fale, podobne do morskich, uderzają rytmicznie o nadbrzeżne skały.

Towarzysze moi na łódce wiosłują po jeziorze, ja zaś siadłem sobie na werandzie i beczynnie patrzę na fale. Głos syreny okrętowej ozwał się w pobliżu i nadpłynął mały parowiec, zatrzymując się tuż przy schronisku. Wysiadła wycieczka, złożona z kilkunastu młodych kobiet pod przewodnictwem mężczyzny. Z rozmów i zachowania wnioskuję, że to włoskie nauczycielki. Rozradowane swobodą, śmieją się i żartują. Kilka z nich podeszło po głazach nadbrzeżnych nad jezioro i robią poranną teatle. Ale zaraz jedna z nich skradła się ku nim i gdy tylko zdołała obetrzeć sobie twarzę ręcznikiem, obrzuciła je wodą. Krzyki i śmiechy, a potem porwywały ją i udają, że chcą ją wrzucić w fale. Dziewczyna wydziera się i kopie.

Ze śpiewem przypłynęło kilka łodzi rybackich i rybacy wyszli na brzeg. A wśród tego folkloru jakaś para angielska obserwuje ze zgorzknieniem beceremonialność tubylców.

Towarzysze moi wrócili i zbieramy się do odjazdu. Jedziemy dzisiaj wzdłuż Gardy. Wyjazd do góry przez cyprysową aleję — to arcydzieło sztuki szoferskiej. Ale wreszcie jesteśmy na szosie.

Jest to dawna austriacka Strada Ponale. Całe bowiem jezioro, prócz południowego skrawka, stało się aż do roku 1918 posiadłością austriacką. Przez trzy lata nad brzegami toczyły się walki.

Droga, przetrasowana wspaniale, wiedzie nad samym niemal jeziorem po przez liczne tunele.

by nacieszyć się rzeźwym powietrzem gór. I znowu dalej. Okolica coraz dziksza, coraz częściej tunele, a skały schodzą aż do wody. Potem jezioro się kończy i stajemy na odpoczynku w małym miasteczku, Nago, nad północną zatoką Gardy. Ku północy już góry.

Teraz stromo coraz wyżej. Serpentyne wywodzą nas wzwyż i nagle roztacza się za nami olśniewający widok na rozlane wody jeziora. Pożegnalne spojrzenie.

Zjeżdżamy w dół do Arco i dalej w dolinę Adygi. Szeroką doliną wśród wyniosłych grzbietów, płynie rwąca rzeka. Na skałach czasami zamki tyrolskie i baszty, sterczące nad przepaścią. Już Trento.

Przez wielki most na rzece dostajemy się w szerokie ulice. Nad miastem stoi zamczysko, widoczne z daleka. Ustawiamy auto na ulicy, bo pora na lunch.

Znowu jedziemy dalej ku północy doliną Adygi. Droga teraz kręta i wąska, a ruch samochodowy nader ożywiony, bo to właśnie niedziela. Teraz popołudniu już wracają i jadą nietylko na góry, ale i pod gazem. Tyrolskie wino, użyte w nadmiarze, miewa czarodziejskie właściwości.

I oto na skrócie nad przepaścią zagroziłam nam przejazd cały sznur aut. Stajemy i orientujemy się od razu, że przydarzył się tu jakiś wypadek. Rozbite auto stoi dosłownie w białej kamiennej ścianie przydrożnej, a drugie, również uszkodzone, stało po wewnętrznej stronie szosy. Obok rozbitego auta stoi młoda dziewczyna i chustką otuliła sobie nos. O podał stojąca druga, starsza nieco i zawodzi spazmatycznie.

Wystadamy co tu i spieszymy na ratunek z apteczką podróżną. Okazuje się, że właściciel auta, Mediolaneczek Mario, tak łobuzowi było na imię, zabrał na niedzielną przejażdżkę dwie signorety pod nadzorem nieodstępnej mamusi. Damę swego serca posadził przy sobie na przedzie, zaś siostrunię i przyszłą teściową ułokował z tyłu.

Wszystko było dobrze i nawet wino smakowało wybornie, aż przyszła godzina powrotu. Do Mediolanu daleko, więc trzeba jechać pośpiesznie. Od czego zresztą włoski temperament, podłany winem i piękna signoretta, upajająca, jak wino. Strone zjazdów, zakręty. Mario jest, jak wicher, niosący na skrzydłach swą ubóstwianą.

I nagle krach! Jakś powolny Holender, który dorobił się auta na Sumatrze, na złość wybrał sobie tę samą niedzielę na spacer do południowego Tyrolu. I nim Mario się opatrzył, już potrafił tego żółwia, gramolącego się do góry. Mały skręt w bok. Przepaść i ślup. Złowieszczy ślup i zbawczy zarazem.

Mario wyszedł cało. Damy na tylnych siedzeniach także. Ale ukochana signoretta nie spostrzegła groźby i piękny, choć nieco za wielkim, noskiem całym rozmachem uderzyła w szybę. Polała się krew.

A teraz dziewczyna tamuje krwotok chusteczką i różowy jedwab barwi się rubinowo. Mario stoi na zosie i w otoczeniu policji klęci się z Holendrami, oczy-

wiście sprawcami katastrofy (gdyby nie jechali, nie byłoby zderzenia), a siostrunia dostała wstrząsu nerwowego i mdleje wśród łez.

Zaś w głębi rozbitego auta z kamiennym spokojem czyha przyszła teściowa. Nie wyrzekła ani jednego słowa, ale w oczach jej, straszliwie zdeterminowanych, widać żelazną wolę. Mario nie patrzy, lecz wie. Jedną córkę krwawi bez jęku, a druga jęczy nie krwawiąc. A przyszła teściowa, jak boskiej Junonie przystoi, nie odzywa się, ale postara się już o to, by Mario w domu odczuł swą niegodziwość.

Obok stanęły dwa auta angielskie, ale ich właściciele i pasażerowie wyglądają tylko przez spuszczone szyby i żaden się nie rusza. Trudno oczywiście zaczepić obce damy, gdy nie zostali przedstawieni, zgodnie z ceremoniałem.

My, barbarzyńcy północy, zapominamy o formach. Wiktor biednej signorecie obmywa ranę jodyną; nieszczesna zębami poraniła sobie policzek. Znosi ból z sympatycznym spokojem, bez łka, w których zresztą obficie wyręcza ją siostra. Za zgodą Marii bierzemy signoretę do samochodu, by ją zawieźć do pobliskiego miasteczka do lekarza. Mamy znowu czwartego pasażera.

Mario i Holendrzy jadą autem policyjnym. Nasza pasażerka uśmiecha się do nas przez szyby i dziękuje. Opowiada nam szepem

(Dokończenie obok)

dzieje niedzielnej wycieczki. Mówi trochę po francusku, resztę do powiada po włosku.

W miasteczku odnajdujemy lekarza, budzimy go z drzemki i oddajemy mu w ręce dziewczynę. Potem zawiadamiamy Marię o spełnieniu przyrzeczenia i otrzymujemy krótkie podziękowanie.

Jedziemy już sami dalej, lecz towarzyszy nam duch zranionej signorety i widmo spokojnej teściowej. Władek teraz sam przyspiesza tempo. Wymijając z rozmachem wracające auta i motocykle, dojeżdżamy do Bolzano.

Dawne austriackie Bozen znaliśmy dobrze przed wojną. Było to miasto na wskroś niemieckie. Dziś trudno je poznać. Całe ulice nowozbudowane, a wszędzie napisy włoskie. Ani jednego napisu niemieckiego.

Zato do kogośkolwiek przemówić po niemiecku, to zaraz odpowiada płynną niemiecką. Zostawiamy samochód i kolejką linową wyjeżdżamy na Virgl. W kolejce wyłącza język niemiecki. W kamiennym na górze sami Niemcy. Z powrotem w wagoniku obok nas siedzą jakaś para niemiecka, w wieku emerytalnym, a obok żołnierz włoski, opiekujący się dzieckiem, zapewne oficerskim. I ci także ze sobą mówią po niemiecku. Rozmowa niespodzianie weszła na temat politycznie niebezpieczny i starszy pan mówi szepem: „Lepiej nie mówić”. I od razu wszyscy troje milkną.

Już zbliża się zachód słońca. Wróciliśmy do samochodu i jedziemy do Neranu. Po drodze kilkakrotnie obserwujemy widok, niespotykany w całych Włoszech. Oto szosą przechadzają się karabinierzy, po dwóch lub trzech, uzbrojeni w karabiny z najeżonymi bagnetami. Tu dopiero w załudnionym przez Niemców południowym Tyrolu w pobliżu niemieckiej granicy można dostrzec

lasy na osi Berlin — Rzym.

Przed Meranem dopędza nas burza. Już zapadła noc i blask piorunów oślepia i każe jechać krok za krokiem, przepiętnym echem góry powtarzają grzmoty.

Szukamy hotelu. Niestety dziś właśnie ma miejsce najazd na Meran szeregu wycieczek Niemców szwajcarskich. Nie jesteśmy Niemcami i odprawiają nas wszędzie z kwitkiem.

Nareszcie gdzieś ulitowano się nad nami. Na dworze deszcz leje strumieniami, żywiołowe oberwa nie chmury, ale my mamy już nad głową opiekuńczy dach.

Obiadujemy w restauracji hotelowej, pełnej Szwajcarów. Mężczyźni pojeżdżowali marynarki i kołnierze i całe mieszane towarzystwo przy piwie śpiewa pieśni niemieckie zgranym chórem, rozłożonym na głosy. Naprzód pieśni szwajcarskie, a potem... hitlerowskie. Gospodarze hotelu, Niemcy, kelnerzy także Niemcy. Zaprzestali usługiwania i słuchają. Potem jeden począł bić oklaski, lecz drugi chwycił go za rękę i wskazał ostrzegawczo na nas.

Irredenta na rzecz Trzeciej Rzeszy szerzona przez Szwajcarów.

UWAGA!

Właściciele nieruchomości
W ANTENY ZBIOROWE
na masztach
zaopatrujemy się u chrześcijan

T. GOLASZEWSKI — Ogrodowa 30, tel. 276-01.

J. HAJDUKIEWICZ, Zakł. Urządzeń Elektrycznych i Telegraficznych — ul. Żurawia 28, tel. 8.44-03.

A. OKOŃ — Mokotowska 41, tel. 807-99.

W. PIETRASZEWSKI — Nowoczesny Zakład Elektrotechniczny Marszałkowska 96, tel. 9.01-89.

B. HOFMANN

24)

NIEJAKI PAN DE KATT

Powieść współczesna

Autoryzowana adaptacja Eugeniusza Bałuckiego.

Do antykwarium Fokinga w Amsterdamie, gdzie przechowywano rzeczy pozostałe w spadku po kapitanie Kai Kragu, przeznaczono na licytację, dokonano zagadkowego włamania. Nic nie zginęło.

— Telefonowałam do ciebie, Halu, ale byłaś zajęta — zaczął Orda. — Portier mi powiedział, że miałas gościa. Prawdopodobnie był Reuter.

— Nie — potrząsnęła głową. — Nie zgadłbyś nigdy, kto był. Zresztą, później o tym pomówimy, to wcale nie jest ciekawe dla pana Weninga.

Komisarz przysłuchiwał się z wielką uwagą, nie odrywając oczu od twarzy dziewczyny. Stykał się w różnych sprawach z kobietami i częściej, niż tego sobie życzył, powodował się w tych wypadkach przeważnie intuicją i obserwacją, które go zawodziły niezmiernie rzadko, dlatego też przywiązywał ogromne znaczenie do pierwszego wrażenia. Wyczuwał w tej Polce istotę poważną, bezpośrednią, bezwzględnie szczerą i uczciwą.

— Przepraszam panią, ale to mnie bardzo zaciękawia wtrącił w odpowiedzi na ostatnie słowa panny Malinowskiej. — Chciałbym wiedzieć, kto panią odwiedził. Dopiero wczoraj pani przyjechała i jak mi się zdaje, do obcego miasta.

— Słusznie. Ostatecznie nie robię z tego tajemnicy, sądzę

jednak, że nazwisko panu nie nie powie. Był u mnie niejaki pan de Katt.

Orda poruszył się niespokojnie.

— Co...? — urwał i umilkł, gdy spotkał nieco kpiące spojrzenie panny Malinowskiej.

— Znam to nazwisko — podjął Weninga. — Mówi mi wiele, może nawet bardzo wiele. Czy pani nie będzie łaskawa powiedzieć, o co mu chodziło?... Z pewnością o tę oślawioną kronikę.

— Zgadł pan — stwierdziła spokojnie. — Chciał kupić ode mnie tę księgę.

— Aha! A jaką odpowiedź pani mu dała?

Panna Malinowska ściągnęła lekko brwi i spojrzała przed siebie w zamyśleniu.

— Bardzo prostą. Odpowiedziałam, że wprawdzie tysiąc dwieście guilderów to dla mnie duży pieniądź, jednak jej nie sprzedam. Zresztą, mój kuzyn podzielił to zdanie.

— Dziwi mnie bardzo ta wysoka cena — wtrącił Orda.

— Mnie też — dorzucił Weninga. — Czy pan de Katt był zadowolony z postanowienia pani?

— Tak i nie... przynajmniej takie odniosłam wrażenie. Prosił, abym mu pozwoliła przejrzeć kronikę. Wy tłumaczyłam, że w tej chwili jest to niemożliwe, bo księga jest zapakowana i prawdopodobnie jeszcze dziś będzie odesłana z innymi rzeczami i z obrazami do Amstelkroog.

— Wiem — skinął głową Weninga i nie zwracając uwagi na zdumienie dziewczyny, zapytał: — Czy pan de Katt nie powiedział wizyty w Amstelkroog?

— Tak, by porozmawiać w pewnej sprawie. Oprócz tego ostrzegał mnie, ale zdaje się, pan chce to samo zrobić.

— Tylko do pewnego stopnia... — rzekł przeciągle Weninga.

— Będę ostrożna — zapewniła dziewczyna. — Jak pan sądzi, panie komisarzy, czy włamanie do sklepu Fokinga miało łączność z tą kroniką?

— Pani powtarza słowa pana de Katta, prawda?

— Uważała to za prawdopodobne.

— Hm... — mruknął Weninga. — Może ma słuszość.

— Ta cała historia jest w ogóle bardzo dziwna — wnie-

szął się Orda. — Czy rozumiesz cokolwiek, Halu? — zwrócił się do kuzynki.

— Nie — potrząsnęła głową. — To samo powiedziałam panu de Kattowi. Dodałam jeszcze, że musi mieć powody, skoro mnie ostrzega.

— A co on na to?

— Mogę powtórzyć dosłownie jego odpowiedź: „Nie potrafię pani tego wytłumaczyć, ponieważ sam jeszcze nie wiem dobrze.”

Weninga przyglądał się uważnie czubkom swoich butów. Po krótkim milczeniu podjął:

— Pani wspomniała, jeśli się nie mylę, że pan de Katt, zapowiadając wizytę w Amstelkroog, oświadczył, że przyjdzie, by z panią porozmawiać w pewnej sprawie. W jakiej?

— Nie odpowiem na to pytanie, panie komisarzy.

Weninga podniósł głowę.

— Dlaczego, proszę pani?

— Obiecałam! — rzuciła krótko.

To wprawiło Weninga w stan wyraźnego podniecenia.

— Rozumiem — podjął po dość długim milczeniu. — Pani postanowiła dotrzymać przyrzeczenia. Ale sprawa przyjęła taki obrót, że robienie tajemnicy nawet z drobnostek może być tylko szkodliwe.

— Przepraszam pana komisarzy, uzasadnienie jest dla mnie niejasne.

— Zaraz to pani wytłumaczę. Prowadziłem dochodzenie o włamanie do Fokinga. W jego podręcznym składzie, wśród skrzyń z rzeczami kapitana Kragu, przeznaczonymi na sprzedaż, znalazłem rękawiczkę pana de Katta.

Weninga pomylił się, jeśli przypuszczał, że tym oświadczeniem wytrąci z równowagi dziewczynę. Natomiast Orda zerwał się z krzesła.

— To jest doprawdy szczyt bezczelności! — zawołał gniewnie. — I taki jegomość ośmiela się tu przychodzić?

— Pan nie zna tego człowieka — starał się go uspokoić Weninga. — W każdym razie pan go zna mniej ode mnie.

— Pan komisarz znalazł rękawiczkę i z tego powodu podejrzewa pana de Katta o włamanie? — zapytała panna Malinowska.

(D. c. n.)